

René Descartes (Kartezjusz)

MEDYTACJE O FILOZOFII PIERWSZEJ

**w których wykazuje się jasno istnienie Boga
i różnicę realną między duszą i ciałem człowieka**

(Meditationes de prima philosophia, 1641, Méditations touchant la philosophie première, 1647)

tłum. z wersji francuskiej Jan Hartman

Medytacja pierwsza

O tym, co można poddać w wątpliwość

Nie od dziś zauważam, że od najmłodszych lat przyjmowałem fałszywe poglądy za prawdę i że to, co od tego czasu zbudowałem na tak źle upewnionych podstawach, musi być bardzo wątpliwe i niepewne. Uznałem więc, że powinienem raz w życiu wyzbyć się wszystkich poglądów, które wcześniej zdarzyło mi się przyjąć na wiarę, i - gdybym miał ustalić coś pewnego i trwałego w nauce - rozpocząć całkiem od nowa i od podstaw. Takie przedsięwzięcie wydało mi się jednakże zbyt wielkie i dlatego zczekałem z nim, aż osiągnę wiek tak dojrzały, abym nie mógł już liczyć na to, że wiek jeszcze późniejszy będzie bardziej odpowiedni do jego podjęcia. Mając takie powody do długiego odkładania sprawy, teraz, jak sądzę, zrobiłbym błąd, zużywając na dalsze rozmyślenia czas, który pozostał mi do działania. Dziś więc, mając na uwadze swój projekt, pozbyłem się z duszy wszelkiego rodzaju trosk, tak że szczęśliwie nie czuję się pobudzany przez żadne emocje, zapewniłem sobie całkowity spokój i oddaję się z powagą i swobodą demontażowi wszystkich moich dawnych poglądów. Aby to osiągnąć, nie będę musiał jednak koniecznie wykazywać, że są one fałszywe, czego zresztą być może nigdy nie mógłbym dokonać. Wystarczy, że rozum przekonuje mnie, iż nie wolno mi mniej pilnie wystrzegać się dawania wiary temu, co nie jest całkowicie pewne i niepowątpiewalne, niż temu, co wydaje mi się w oczywisty sposób fałszywe - i dlatego należy odrzucić każde [przekonanie], w którym znajdę jakiegokolwiek powód do wątplenia. A w tym celu nie będę potrzebował badać wszystkiego z osobna, co byłoby przecież pracą nieskończoną, ale ponieważ zniszczenie fundamentów pociąga za sobą z koniecznością ruinę całej budowli, wezmę się najpierw do samych zasad, na których opierały się wszystkie moje dawne poglądy.

Wszystko, co dotychczas uważałem za najbardziej prawdziwe i uzasadnione, przyjąłem od zmysłów lub poprzez zmysły. Przekonywałem się już jednak niekiedy, że zmysły bywają zwodnicze, a ostrożność nakazuje, by nie ufać całkowicie tym, którzy nas choć raz wprowadzili w błąd.

Wszelako jednak możliwe jest, że zmysły mylą nas czasem, jeśli chodzi o rzeczy słabo dostrzegalne i bardzo oddalone, podczas gdy spotykamy wiele innych rzeczy, co do których nie można rozsądnie mieć wątpliwości, mimo że są poznawane za pośrednictwem zmysłów - na przykład to, że jestem tutaj i siedzę przy kominku, że mam na sobie szlafrok, że przytrzymuję ręką tę oto kartkę papieru i inne rzeczy tego rodzaju. Jak mógłbym przeczyć, że te ręce i to ciało jest moje, o ile nie miałbym być zarazem podobny do wielu chorych psychicznie, których mózgi są tak zmieszane i zaćmione przez czarne

wapory żółci, iż twierdzą uparcie, że są królami, będąc nędzarzami, że są odziani w złoto i purpurę, będąc nadzy, albo też wyobrażają sobie, że są dzbanem albo że mają ciało ze szkła. Czyż nie byłbym równie szalony jak oni, gdybym kierował się ich przykładem?

A jednak muszę tutaj zwrócić uwagę, że jestem człowiekiem i jako taki sypiam i przedstawiam sobie w snach takie same rzeczy, a czasem nawet jeszcze mniej prawdopodobne, niż chorzy psychicznie przedstawiają sobie na jawie. A ileż to razy zdarzało mi się śnić nocą, że jestem tutaj, że jestem ubrany i siedzę przy kominku, chociaż leżałem nagi w łóżku. A teraz wydaje mi się przecież, że nie śnię, widząc ten papier, że ta głowa, którą poruszam, nie jest uspiona, że celowo i rozmyślnie wyciągam tę rękę i że ją czuję - to, co dzieje się we śnie, nie jest ani tak jasne, ani tak wyraziste. Jednakże, gdy uważnie to rozważam, to przypominam sobie, że często bywałem we śnie mylony przez podobne złudzenia. Biorąc pod uwagę to spostrzeżenie, widzę z taką oczywistością, że nie ma żadnych pewnych wskazówek, dzięki którym można by ściśle odróżnić jawę od snu, iż ogarnia mnie zdziwienie - zdziwienie tak wielkie, że omal przekonuje mnie, iż faktycznie śpię.

Zalóżmy więc teraz, że śpimy i że wszystkie te szczegóły, jak to, że otwieramy oczy, że poruszamy głową, że wyciągamy ręce itp., są jedynie fałszem i złudzeniem. I pomyślny też, że nasze ręce ani nasze ciała nie są takie, jakimi je widzimy. Musimy wszelako przyznać co najmniej tyle, że to, co się nam przedstawia we śnie, jest jak rysunki i obrazy, które mogły zostać wytworzone tylko dzięki podobieństwu do czegoś rzeczywistego i prawdziwego, i że wobec tego co najmniej ogólnie rzecz biorąc, takie rzeczy, jak oczy, głowa, ręce i całe ciało, nie są tylko dziełem wyobraźni, ale są rzeczywiste i [w ogóle] istnieją. I malarze bowiem, gdy nawet starają się z całym kunsztem przedstawić syreny czy satyrów w dziwnych i niezwykłych postaciach, nie mogą przecież nadawać im kształtów i wyglądu całkowicie nowego, lecz jedynie mieszają ze sobą i komponują części różnych zwierząt. A nawet gdyby ich wyobraźnia miała być tak wyjątkowa, że mogłoby wynaleźć coś tak nowego, iż nigdy wcześniej nie widziano niczego podobnego, a więc ich dzieło przedstawiałoby coś czysto fikcyjnego i całkowicie fałszywego, to z pewnością przynajmniej kolory, za pomocą których by je wytworzyli, musiałyby być prawdziwe.

Z tych samych powodów, o ile jeszcze takie rzeczy, jak ciało ludzkie w ogóle, oczy, głowa czy ręce w ogóle itp., mogą być czymś wyobrażonym, o tyle trzeba z koniecznością uznać, że przynajmniej pewne rzeczy prostsze i bardziej powszechne są prawdziwe i istnieją, a poprzez ich zmieszanie (podobnie jak mieszane są prawdziwe kolory) ukształtowane zostają wszystkie obrazy rzeczy, które znajdują się w naszej myśli - czy to prawdziwe i rzeczywiste, czy to fikcyjne i fantastyczne.

Czymś takim [prostym i powszechnym] jest cielesność w ogóle i przynależna do niej przestrzenność, podobnie jak kształt rzeczy przestrzennych, ilość [każdej z nich], czyli wielkość, ich liczba, miejsce, gdzie się znajdują, czas, który odmierza ich trwanie itp. Dlatego też nie będziemy chyba rozumować błędnie, jeśli powiemy, że fizyka, astronomia, medycyna i wszystkie inne nauki, które [w swych wynikach] zależne są od rozważania rzeczy złożonych, są bardzo wątpliwe i niepewne, podczas gdy arytmetyka, geometria i inne nauki tego rodzaju, które zajmują się wyłącznie rzeczami bardzo prostymi i bardzo ogólnymi, nie dbając zbytnio o to, czy istnieją one w rzeczywistości, czy też nie, zawierają w sobie coś pewnego i niepowątpiewalnego. Niezależnie bowiem od tego, czy czuwać, czy też śpię, dwa plus trzy jest zawsze pięć, a kwadrat nigdy nie ma więcej niż cztery boki i nie wydaje się możliwe, żeby prawdy tak jasne i tak oczywiste mogły być objęte podejrzeniem jakiegokolwiek fałszywości czy niepewności.

Jednakowoż od dawna już jest w mej duszy przekonanie, że istnieje Bóg, który wszystko może i który stworzył mnie i uczynił takim, jakim jestem. Lecz czy mogę wiedzieć, że nie sprawił on, że wcale nie ma żadnej Ziemi, nieba, żadnego ciała przestrzennego, żadnego kształtu, żadnej wielkości, żadnego miejsca, a mimo to ja mam spostrzeżenia zmysłowe tych wszystkich rzeczy, i że to wszystko wydaje mi się istnieć w taki sposób, jak to widzę? A skoro uważam czasami, że inni mylą się w rzeczach, na których, wedle ich własnego przekonania, bardzo dobrze się znają, to czy ja mogę wiedzieć, że Bóg nie sprawia, że mylę się za każdym razem, gdy dodaję do siebie dwa i trzy lub gdy liczę boki kwadratu albo gdy wydaję sąd o czymś jeszcze łatwiejszym, jeśli w ogóle można sobie wyobrazić coś łatwiejszego? Lecz może jednak Bóg nie chciał, bym był łudzony w taki sposób, skoro przecież mówi się o Bogu, że jest w

najwyższym stopniu dobry? Jednakże gdyby sprawianie, abym się mylił wciąż, kłóciło się z dobrocią Boga, to przecież byłoby z nią sprzeczne i to, aby pozwalał mi mylić się choćby tylko czasami, a przecież nie mogę wątpić, że właśnie na to pozwala. Zdarzyć się mogą osoby, które w tym miejscu wołałyby raczej zaprzeczyć istnieniu tak potężnego Boga, niż uwierzyć, że wszystko inne jest niepewne. Teraz nie spierajmy się jednak z nimi i załóżmy, po ich myśli, że wszystko to, co powiedziano tu o Bogu, jest wymysłem. Wtenczas cokolwiek mieliby przypuszczać o moim pochodzeniu - skąd się wziąłem i kim jestem - a więc niezależnie od tego, czy przypisywaliby to jakiemuś przeznaczeniu czy zrządzeniu losu, czy też przypadkowi lub ciągowi powiązanych ze sobą zdarzeń, albo jeszcze czemuś innemu, to skoro popełniać błędy i mylić się oznacza niedoskonałość, to im mniej potężnemu sprawcy przypisywaliby moje powstanie, tym bardziej byłoby prawdopodobne, że jestem tak niedoskonały, że mylę się zawsze. Na takie argumenty nie potrafię już nic odpowiedzieć, lecz w końcu muszę też wyznać, że nie ma już nic, w czego prawdziwość dawniej wierzyłem, a czego w jakiś sposób nie mógłbym poddać w wątpliwość, i to wcale nie z braku rozważań ani z lekkomyślności, lecz na podstawie racji bardzo silnych i w poważny sposób przemyślanych. W takim razie, skoro chcę znaleźć w nauce coś pewnego i uzasadnionego, to nie wolno mi mniej starannie wystrzegać się dawania wiary [tym przekonaniom] niż temu wszystkiemu, co jest w sposób oczywisty fałszywe.

Ale też samo wypowiedzenie tych uwag nie wystarczy - trzeba je zachować w pamięci. Dawne potoczne mniemania powracają bowiem często w moich myślach, tak jakby ich długotrwała poufalskość ze mną dawała im prawo zajmowania miejsca w mej duszy wbrew mojej woli i zawładnięcia niemalże moimi przekonaniem. Nie odzwyczaję się jednak od posłuszeństwa i zaufania wobec nich dopóty, dopóki będę je uważał za to, czym naprawdę są, czyli za takie, które są w pewien sposób wątpliwe, jak to właśnie pokazałem, lecz jednak bardzo prawdopodobne, to znaczy mające za sobą znacznie więcej powodów, aby w nie wierzyć, niż aby je negować. Dlatego też dobrze zrobię, jak sądzę, przyjmując z rozmysłem podejście wprost przeciwne i zwodząc samego siebie, i udając przez jakiś czas, że wszystkie te mniemania są całkowicie fałszywe i fantastyczne. Dzięki temu będę mógł zrównoważyć dawne pochopne przesądzenia nowymi, przez co nie będą już one wpływać, ani z jednej, ani z drugiej strony, na mój osąd, co też uwolni go od władzy złych nawyków i sprawi, że nie będzie już spychany z prostej drogi, która może zaprowadzić go do poznania prawdy. Jestem bowiem przekonany, że w postępowaniu tym nie może być niebezpieczeństw ani błędów i że w swym wątpleniu nie mógłbym przesadzić, skoro obecnie nie chodzi o działanie, lecz o rozważanie i poznanie.

Przyjmę więc teraz założenie, że wprowadzie nie Bóg, który jest w najwyższym stopniu dobry i jest najwyższym źródłem prawdy, lecz że jakiś zły demon, tyleż przebiegły i zwodniczy, ile potężny, użył całej swej zmyślności, ażeby mnie wprowadzić w błąd. Będę myślał, że niebo, powietrze, Ziemia, kolory, kształty, dźwięki i wszystkie inne rzeczy zewnętrzne są jedynie złudzeniami i zjawami, którymi posłużył się on, aby zastawić sidła na mą łatwowierność. Będę o sobie samym sądził, że nie mam rąk ani oczu, ani ciała, ani krwi, ani żadnych zmysłów, a jedynie fałszywie wierzyłem, iż mam to wszystko. Będę uparcie trwał przy tej myśli i chociaż w ten sposób nie będę w stanie dojść do poznania żadnej prawdy, to przynajmniej będę zdolny zawiesić swój sąd. Dlatego też z największą troską zadbam o to, aby nie przyjąć żadnego fałszywego przekonania, i przygotuję swą duszę na wszystkie podstępny tego wielkiego zwodziciela, tak aby, jakkolwiek byłby on potężny i przebiegły, i tak nie mógł mi nigdy nic narzucić.

Lecz przedsięwzięcie to jest żmudne i pracochłonne, a tymczasem coś na kształt lenistwa wciąga mnie niepostrzeżenie z powrotem w naturalny bieg mego życia. I całkiem jak niewolnik, który radując się we śnie wyobrażoną wolnością, gdy tylko zacznie podejrzewać, że ta wolność jest jedynie snem, boi się obudzić i oddaje się jeszcze przyjemnym złudzeniom, aby jak najdłużej go zwodziły, również i ja popadam niepostrzeżenie dla mnie samego z powrotem w swoje dawne mniemania i boję się obudzić z tej drzemki, w obawie, czy aby pracowite czuwanie, które miałoby nastąpić po spokojnym odpoczynku, zamiast dostarczyć mi dziennego światła do poznawania przeze mnie prawdy, nie okaże się przynosić go za mało, aby rozjaśnić wszystkie mroki trudności, które właśnie zostały poruszone.

Medytacja druga

O naturze duszy ludzkiej i że łatwiej ją poznać niż ciało

Wczorajsze moje rozważanie nappełniło mą duszę tyloma wątpliwościami, że odtąd nie będę już zdolny ich zapomnieć. A jednak nie widzę też, w jaki sposób mógłbym je rozstrzygnąć i zupełnie tak jakbym nagle został rzucony na głęboką wodę - jestem zaskoczony, iż nie mogę oprzeć stóp o dno ani płynąć utrzymując się na powierzchni. A jednak dołożę wszelkich starań, aby nadal trzymać się tej samej ścieżki, na którą wstąpiłem wczoraj, oddalając się od tego wszystkiego, w stosunku do czego mógłbym wyobrazić sobie najlżejszą choćby wątpliwość, tak samo, jakbym wiedział, że jest to całkowicie fałszywe. I będę szedł nadal tą ścieżką, aż napotkam coś pewnego, a jeśli już nie będzie można inaczej, to tak daleko, aż dowiem się na pewno, że nic pewnego na świecie nie ma. Archimedes domagał się tylko pewnego i nieruchomego punktu oparcia, aby móc poruszyć Ziemię. Dlatego i ja miałbym chyba prawo do wielkich oczekiwań, gdyby dane mi było znaleźć choćby jedną rzecz pewną i niepowątpiewalną.

Przyjmuję więc, że wszystkie rzeczy, które widzę, są fałszywe; uznaję, że nigdy nie było tego wszystkiego, co moja wypełniona kłamstwami pamięć mi przedstawia; myślę [o sobie jako] nie mającym żadnych zmysłów: sądzę, że ciało, kształt, przestrzenność, ruch i miejsce są jedynie fikcjami duszy. Co zatem będzie można uznać za prawdę? Być może nic, chyba że to jedno tylko, iż nic w świecie nie jest pewne.

Lecz może jednak jest taka rzecz, inna niż wszystkie, które właśnie uznałem za niepewne, co do której nie można by już mieć najmniejszych wątpliwości? Czyż nie jakiś bóg lub jakaś inna moc wprowadza w mą duszę obecne me myśli? Nie jest to konieczne, być może bowiem jestem zdolny wytworzyć je sam z siebie. Więc przynajmniej ja sam może jestem czymś? Zaprzeczyłem już wprawdzie, jakoby miał jakieś zmysły lub ciało, a jednak waham się, [nie wiedząc] co z tego wynika? Czy jestem tak zależny od ciała i od zmysłów, że nie mógłbym istnieć bez nich? Ale też sam przyjąłem, że nie ma w ogóle niczego w świecie - żadnego nieba, ziemi, żadnych dusz ani ciał. Czy nie przyjąłem tym samym, że i mnie samego wcale nie ma? Ale jakżeby tak? Bez wątpienia byłem, skoro powziąłem jakieś przekonanie lub choćby coś pomyślałem. Wprawdzie jest jakiś zwodziciel, nie wiem jak potężny, który używa całej swej przebiegłości, by mnie wciąż wprowadzać w błąd. Więc bez wątpienia ja jestem, skoro on mnie zwodzi. Niech mnie więc zwodzi, ile chce, a i tak nie sprawi, abym był niczym, jeśli tylko będę myślał, że jestem czymś. W ten sposób, po dokładnym zastanowieniu i uważnym rozważeniu wszystkiego, uznać należy za ustaloną tę konkluzję, iż stwierdzenie: *jestem, istnieję* jest z koniecznością prawdziwe, ilekroć je wypowiadam lub pojmuję w duchu.

Lecz będąc pewnym, że jestem, nie wiem jeszcze z dostateczną jasnością, jaki jestem. Dlatego też muszę teraz bardzo uważać, aby nieostrożnie nie wziąć czegoś innego za siebie samego i nie popaść w błąd w tym poznaniu, które uważam za pewniejsze i bardziej oczywiste niż wszystkie inne, które miałem dotąd. Dlatego też rozważę teraz ponownie wszystko, czym - jak sądziłem, zanim powziąłem te rozmyślenia - jestem. Z dawnych zaś swych mniemań usunę wszystko, co może zostać choćby w najmniejszym stopniu podważone za pomocą argumentów, które zostały tu przywołane, tak aby zostało wyłącznie to, co jest całkowicie pewne i niepowątpiewalne. Za cóż się więc dotąd uważałem? Bez zastrzeżeń uważałem, że jestem człowiekiem. Ale kim jest człowiek? Czy powiem, że jest to zwierzę rozumne? Na pewno nie, bo wtedy musiałbym zbadać co to jest zwierzę i co to znaczy rozumny i w ten sposób wychodząc od tego pytania, niepostrzeżenie popadłbym w nieskończoną ilość innych - trudniejszych i bardziej kłopotliwych, a przecież nie chciałbym marnować tej niewielkiej ilości wolnego czasu, która mi pozostała, na rozwiązywanie podobnych trudności. Raczej już skupię się tu na badaniu tych myśli, które dotychczas podsuwała mi sama moja istota, kiedy tylko oddawałem się rozważaniu swego bytu. Uważałem się więc najpierw za posiadającego twarz, ręce, ramiona i całą tę maszynę kości i mięśni, którą widzimy i u trupa i którą nazywałem słowem "ciało". Uważałem ponadto, że się odżywiam, chodzę, odczuwam i myślę a wszystkie te działania przypisywałem duszy. Nie zastanawiałem się jednak

nad tym, czym właściwie jest ta dusza, a jeśli już, to wyobrażałem sobie, że jest ona czymś krańcowo ulotnym i subtelnym, jak powiew wiatru, ogień czy tchnienie, które przenikałoby grubsze moje części i rozchodziło się w nich. Jeśli zaś chodzi o ciało, to nigdy nie miałem żadnych wątpliwości co do jego natury. Uważałem, że znam ją dokładnie, a gdybym chciał ją wyjaśnić za pomocą pojęć, które wtenczas posiadałem, to opisałbym ją w ten sposób: Przez ciało rozumiem wszystko, co może zostać obrysowane jakąś figurą, co może zostać umieszczone w pewnym miejscu i wypełnić jakąś przestrzeń w taki sposób, że wszystkie inne ciała będą z niej wykluczone, co może być spostrzeżone zmysłowo przez dotyk, wzrok, słuch, smak lub węch, co może zostać na różne sposoby wprowadzone w ruch, chociaż nie samo przez się, lecz przez coś innego, co je dotyka i od czego otrzymuje impuls (mocy bowiem samorzutnego wprowadzania się w ruch, podobnie jak odczuwania i myślenia, w żadnym razie nie przypisywałem naturze ciała; przeciwnie - dziwiłem się raczej, widząc, że podobne zdolności spotyka się w pewnych ciałach).

Więc w końcu, kimże jestem, skoro założę, że jest jakiś demon, niebawem potężny i, jeśli wolno tak powiedzieć, złośliwy i przebiegły, który używa całej swej mocy i całej swej zmyślności, aby wprowadzić mnie w błąd? Czy wolno mi twierdzić, że mam choćby cokolwiek z tych własności, które właśnie przypisałem naturze ciała? Zatrzymuję się nad tym z uwagą, wszystkie je wciąż na nowo rozważam i nie znajduję żadnej, o której mógłbym powiedzieć, że mi przysługuje. Nie ma potrzeby, abym trudził się ich wyliczaniem. Przejdźmy więc do własności duszy i zobaczmy, czy są wśród nich takie, które przysługiwałyby mnie. Najpierw będzie to odżywianie się i poruszanie. Skoro jednak miałyby być prawdą, że nie mam już ciała, to będzie też prawdą, że nie mogę się ani odżywiać, ani poruszać. Inna własność to odczuwanie. Również i odczuwać nie mogę bez ciała, jakkolwiek zdawało mi się kiedyś, że odczuwałem różne rzeczy podczas snu, lecz budząc się, stwierdzałem, że faktycznie wcale ich nie odczuwałem. Jeszcze inna własność to myślenie i tu stwierdzam, że myśl jest atrybutem, który mi przysługuje i który nie może być oddzielony ode mnie. Jestem, istnieję - to pewne. Jak długo jednak? Otóż tak długo, jak długo myślę. Bo też być może mogłoby się tak stać, gdybym całkowicie przestał myśleć, że jednocześnie przestałbym całkowicie istnieć. Obecnie przyjmuję [jednak] tylko to, co jest prawdziwe w sposób konieczny. Jestem więc, mówiąc ściśle, czymś, co myśli, to znaczy duszą, umysłem czy rozumem, które to pojęcia mają znaczenie wcześniej mi nie znane. Jestem więc czymś prawdziwym i naprawdę istniejącym. Ale czym? Powiadam na to: czymś, co myśli. I czym jeszcze? Wysiłę swą wyobraźnię, by przekonać się, czy nie jestem może czymś ponadto. Nie jestem bynajmniej tym zespołem członków, który nazywa się ciałem ludzkim; nie jestem też żadnym subtelnym powietrzem, ulotnym i przenikliwym, które rozpościerałoby się we wszystkich jego częściach. Nie jestem żadnym powiewem, tchnieniem czy oparem, ani niczym takim, co mógłbym sobie wymyślić lub wyobrazić, jako że założyłem, iż wszystko to jest niczym - trwając przy tym założeniu, stwierdzam [jednak], że nie przestaję być pewien, że jestem [w ogóle] czymś.

Ale być może jest tak, że te wszystkie rzeczy, o których zakładam, że nimi nie jestem, bo ich nie znam, faktycznie wcale nie są czymś różnym ode mnie takiego, jakiego znam. Nic mi o tym nie wiadomo; nie zajmuję się tym teraz - wydaję sądy jedynie w sprawach, które są mi wiadome: wiem zaś, że istnieję, i szukam odpowiedzi na pytanie, kim jestem ja, który wie już, że jest. Otóż jest całkiem pewne, że moja świadomość własnego bytu, powzięta z taką precyzją, bynajmniej nie zależy od rzeczy, których istnienie nie jest mi jeszcze wiadome. Wobec tego nie zależy ona od niczego, co mógłbym sfingować w wyobraźni. Zresztą same słowa "sfingować" i "wyobrażać sobie" zaświadcza, że byłoby błędem [tak myśleć]. Mianowicie fikcją byłoby, gdybym *wyobrażał sobie*, że jestem czymś, gdyż wyobrażać sobie to nic innego, jak myśleć o kształcie lub obrazie jakiejś rzeczy materialnej. Tak więc wiem już z pewnością, że jestem i że w zasadzie mogłoby okazać się, iż wszystkie takie wyobrażenia, a ogólnie: wszystko, co odnosi się do natury ciała, to tylko fikcje i złudzenia. Wobec tego widzę jasno, że równie niesłuszne byłoby powiedzenie "wysiłę wyobraźnię, aby dowiedzieć się dokładnie, kim jestem", co powiedzenie "chociaż teraz nie śpię i spostrzegam coś rzeczywistego i prawdziwego, wszelako jednak spostrzegając to jeszcze nie dość jasno, postaram się znowu zasnąć, aby sny ukazały mi to wszystko prawdziwiej i z większą naocznością". Stąd też widzę z całą oczywistością, że nic, co mógłbym pojąć dzięki wyobraźni, nie wchodzi w zakres mojej wiedzy o sobie samym, i że trzeba, bym umysł swój zwolnił i odwrócił od tego rodzaju ujęć, dzięki czemu będzie mógł poznać naprawdę dokładnie swą własną naturę.

No więc czymże w końcu jestem? Czymś, co myśli. Co to znaczy coś, co myśli? To znaczy coś, co wątpi, rozumie, pojmuję, twierdzi, przeczy, chce, nie chce, wyobraża sobie i czuje. To z pewnością niemało, jeśli wszystko to należy do mojej natury. Ale też, dlaczegoż by to nie miało mi przynależeć? Czyż nie jestem tym kimś, kto w tej chwili wątpi niemal o wszystkim, kto wszelako rozumie i pojmuję pewne rzeczy, kto upewnia się i uznaje jedne, a zaprzecza inne, kto chce i pragnie nadal je poznawać, kimś, kto nie chce dać się zwieść, kto wyobraża sobie wiele rzeczy (czasem nawet wbrew swej woli) i wiele czuje, tak jakby przez działanie organów zmysłowych? Czy jednak cokolwiek z tego wszystkiego jest tak prawdziwe, by dorównać swą pewnością temu, że jestem i istnieję, choćbym i spał przez cały czas, a ten, który dał mi byt, posługiwał się całym swym geniuszem, aby mnie zwieść? Czy choćby jedna z tych wszystkich właściwości da się odróżnić od mego myślenia albo można o niej powiedzieć, że jest oddzielona ode mnie samego? Otóż jest samo przez się oczywiste, że ja sam jestem tym, kto wątpi, rozumie i pragnie, i że nie trzeba tu już żadnych dalszych wyjaśnień. Oczywiście, mam również władzę wyobraźni. I chociaż może się zdarzyć (jak to już wcześniej dopuszczałem), że tego, co sobie wyobrażam, naprawdę nie ma, to jednak ta zdolność wyobrażania sobie nie przestaje być czymś realnie we mnie, mając udział w moim myśleniu. W końcu to ja przecież odczuwam, czyli spostrzegam pewne rzeczy jakby organami zmysłowymi, a więc widzę światło, słyszę hałas, czuję ciepło. I jeśli powiedzą mi, że przedstawienia te są fałszywe i że śpię, to niech tak będzie - wszelako przynajmniej pewne jest to, iż wydaje mi się, że widzę światło, że słyszę hałas, że czuję ciepło. To nie może być fałszem, i to właśnie nazywa się we mnie czuciem, które też nie jest niczym innym jak myśleniem. Teraz też zaczynam rozumieć trochę jaśniej i dokładniej niż wcześniej, jaki jestem.

A jednak wciąż wydaje mi się jeszcze - i nie mogę pozbyć się tego przekonania - że ciała materialne, których obrazy powstają dzięki myśleniu, które podpadają pod zmysły i które same zmysły poznają, są znane znacznie dokładniej niż ta jakaś część mnie, której nie mogę sobie wyobrazić. Swoją drogą, dziwnie byłoby twierdzić, że znam i rozumiem dokładniej te rzeczy, których istnienie wydaje mi się wątpliwe, które są mi obce i bynajmniej nie są częścią mnie samego, niżli te, co do prawdziwości których jestem przekonany, które są mi bliskie, przynależne mej naturze - jednym słowem: niżli siebie samego. Ale ja wiem już, w czym rzecz. Mój umysł jest jak wędrowiec, który lubi błąkać się po manowcach i nie umiałby jeszcze ścierpieć, by trzymano go w ścisłych granicach prawdy. Popuśćmy mu więc raz cugli i dając mu całkowitą wolność, pozwólmy mu badać przedmioty, które przedstawiają mu się jako coś zewnętrznego po to, aby powoli i umiejętnie je następnie ściągając, kierować jego uwagę na niego samego i na to wszystko, co może odnaleźć w sobie samym, czyniąc go przez to podatniejszym na kierowanie.

Zajmijmy się więc teraz tymi rzeczami, które zazwyczaj uważamy za najłatwiej dające się poznać i o których sądzymy, iż znamy je najlepiej, to znaczy ciałami materialnymi, które dotykamy i które widzimy. W istocie chodziłoby nie o ciała w ogóle, bo takie ogólne pojęcia są na ogół trochę niejasne, lecz o jakieś jedno konkretne ciało. Weźmy na przykład kawałek wosku. Właśnie wybraliśmy go z plastra. Nie stracił jeszcze swego słodkiego smaku miodu, a nawet zachował po trosze zapach kwiatów, z których został zebrany. Widać, jaki ma kolor, kształt, wielkość - jest twardy, chłodny, poręczny, a gdy postukać weń, wtenczas wydaje jakiś dźwięk. W rezultacie wszystkie cechy, dzięki którym jednoznacznie rozpoznajemy ciało materialne, można tu napotkać. Ale oto podczas gdy mówię te słowa, przybliżam do wosku ogień. Resztką smaku ulatnia się, zapach wyparowuje, kolor się zmienia, kształt zanika, a wielkość wzrasta. Staje się płynny, nagrzewa się, ledwie można go wziąć do ręki i jakkolwiek byśmy w niego stukali, nie wyda żadnego dźwięku. Czy po tych wszystkich przemianach wosk pozostaje tym samym? Trzeba przyznać, że owszem. Nikt w to nie wątpi, nikt nie sądzi inaczej. Cóż takiego więc poznaje się w tym kawałku wosku tak dokładnie? Z pewnością nie jest to nic, co spostrzegłem w ujęciu zmysłowym, gdyż wszystko, co podpadałoby pod zmysł smaku, powonienia, wzroku, dotyku albo słuchu, okazało się było zmienić, a mimo to wosk pozostał ten sam. A może jest to to, o czym teraz myślę, a mianowicie, że ten wosk to nie jest ten miodowy smak ani ten miły zapach kwiatów, ani ten kształt, ani ten dźwięk, a jedynie ciało, które wcześniej przedstawiło się moim zmysłom w jednej formie, a teraz pozwala się poznać w innej? Ale co takiego właściwie, ściśle rzecz biorąc, wyobrażam sobie, pojmując [ten kawałek wosku] w taki sposób? Zbadajmy to uważnie i odsuwając to wszystko, co nie jest własnością [samego]

tego wosku, zobaczmy, co pozostanie. A z pewnością nie zostanie nic innego niż coś przestrzennego i plastycznego. Ale co to znaczy plastyczny? Czyż nie to, iż wyobrażam sobie, że ten воск, jeśli ma kształt okrągły, może przybrać kształt kwadratowy, a potem jeszcze trójkątny? Z pewnością nie, ponieważ pojmuję go jako zdolny do nieskończonej liczby podobnych przemian, a w wyobraźni swej nie jestem przecież w stanie przebiec tej nieskończonej liczby. Dlatego też moje pojmowanie wosku nie jest dziełem władzy wyobrażania sobie. A na czym polega owa przestrzenność? Czyż i ona nie jest również czymś niejasnym? Czyż [jej miara] nie wzrasta, gdy воск się topi, następnie gdy wre i dalej, gdy jeszcze przybiera ciepła? Nie pojmowałbym w sposób pewny i prawdziwy, czym jest воск, gdybym nie myślał, że nawet ten oto kawałek wosku, którym się teraz zajmuję, może bardziej różnicować się pod względem miary przestrzennej, niż to kiedykolwiek byłbym w stanie sobie wyobrazić. Trzeba się więc zgodzić, że nie byłbym w stanie za pomocą wyobraźni zrozumieć, czym jest ten kawałek wosku, i że jedynie sam rozum to potrafi. Mówię to w odniesieniu do tego konkretnego kawałka wosku. Ale co do wosku w ogóle, to jest to jeszcze bardziej oczywiste. Czym jednakże jest ten kawałek wosku, który pojąć da się jedynie przez rozum czy umysł? Na pewno jest to ten sam воск, który widzę, który dotykam, który sobie wyobrażam, a w końcu - ten sam, którego tożsamość od początku uznawałem. Trzeba wszelako koniecznie zauważyć, że moje doświadczenie [*perception*] to wcale nie widzenie ani dotykanie, ani wyobrażanie sobie, i nigdy tym nie było, jakkolwiek wcześniej tak się zdawało, lecz że jest to wyłącznie wgląd samej duszy, który może być niedoskonały i niejasny, tak jak to miało miejsce wcześniej, a może też być jasny i dokładny, tak jak to się dzieje obecnie, w zależności od tego, czy moje skupienie bardziej, czy mniej trzyma się rzeczy, które sobą obejmuje, i ich składników.

Swoją drogą, nie mogę nadziwić się, ile jest w mej duszy słabości i zwodów, które wprawiają ją w błąd. Bo chociaż wszystko to rozważam w sobie bez słów, to jednak słowa cały czas przykuwają mnie do siebie, tak iżomalże jestem oszukiwany przez język potoczny. Mówimy przecież, że widzimy ten sam воск, skoro tu jest, a nie, że sądzimy, że to ten sam, zważywszy kolor i kształt -omalże wyciągnąłem stąd wniosek, że poznaje się воск przez oglądanie go oczami, a nie przez wgląd samej duszy. Gdybym oto przypadkiem ujrzał za oknem ludzi idących ulicą, a widząc to zwykłem mówić, że widzę ludzi, podobnie jak też i mówię, że widzę воск, to przecież coś innego byłbym widział, niż kapelusze i płaszcze, które mogłyby *okrywać* sztuczne roboty, poruszające się dzięki mechanizmowi? A jednak sądzę, że są to ludzie, a znaczy to, że *rozumiem*, dzięki samej tylko zdolności pojmowania, która tkwi w mojej duszy, to, co - jak mi się wydawało - *widziałem* za pomocą oczu.

Ten, kto stawia sobie zadanie wzniesienia się umysłem ponad ogół ludzi, powinien się wstydzić, że powodów do wątpliwości dostarcza mu sposób wyrażania się ogółu. Chciałbym więc teraz pójść dalej i rozważyć, czy poznałem w sposób bardziej doskonały i z większą oczywistością, co to jest воск, gdy zobaczywszy go, wpierw powziąłem przekonanie, że poznałem go za pośrednictwem zmysłów zewnętrznych, nie mówiąc już o tak zwanym zmyśle wspólnym, to znaczy władzy wyobrażania sobie, czy też poznaję go lepiej teraz, po bardzo skrupulatnym zbadaniu, czym on jest i w jaki sposób może zostać poznany. Byłoby śmieszne żywić w tej kwestii jakiegokolwiek wątpliwości. Cóż bowiem jednoznacznego [*distinct*] zawierało to pierwsze poznanie? Cóż było w nim takiego, co nie mogłoby w taki sam sposób wystąpić w spostrzeżeniu jakiegokolwiek zwierzęcia? Kiedy jednakże dokonuję rozróżnienia pomiędzy woskiem a jego zewnętrznymi formami i rozważam go tak, jakbym zdjął z niego okrycie, całkiem nagiego, pewne jest, że jakkolwiek nadal narażony jestem na błąd w sądzeniu, to jednak nie mógłbym poznawać go w taki sposób bez udziału swego ludzkiego rozumu.

A co mam do powiedzenia o tym rozumie, a więc o sobie samym (jak dotąd bowiem nie przyjmuję w sobie niczego poza rozumem)? Przecież skoro, jak się zdaje, tak jasno i dokładnie poznaję ten kawałek wosku, to czyż nie poznaję samego siebie nie tylko prawdziwiej i z większą pewnością, lecz także dokładniej i jaśniej? Jeśli na podstawie tego, że widzę воск, sądzę, że on jest czy istnieje, to z pewnością z większą jeszcze oczywistością stąd, że go widzę, wynika, że ja sam jestem czy istnieję. Mogłoby bowiem być tak, że to, co widzę, faktycznie nie byłoby woskiem. Mogłoby być i tak, że nie miałbym wcale oczu i nic bym nie mógł widzieć. Niemożliwe jest jednakże, abym skoro już widzę lub (czego teraz nie będę rozdzielał) myślę, że widzę, sam nie był czymś. Podobnie też, skoro sądzę, że воск istnieje, na tej podstawie, że go dotykam, to wynika stąd to samo, a mianowicie, że jestem. I jeśli

przekona mnie o istnieniu wosku wyobraźnia lub cokolwiek innego, to wniosek wyciągnę stąd niezmiennie ten sam. A to, co powiedziałem tu o wosku, można odnieść do wszystkich innych rzeczy, które są na zewnątrz mnie. Ponadto jeśli pojęcie czy poznanie wosku wydało mi się bardziej oczywiste i dokładne, gdy nie tylko go zobaczyłem i dotknąłem, ale i wiele innych okoliczności uczyniło go bardziej dla mnie jawnym, to z jakże większą oczywistością, dokładnością i jasnością uznać trzeba, że ja sam teraz poznaję siebie, skoro wszelkie środki, służące poznaniu i pojęciu owego wosku czy jakiegokolwiek innego ciała, daleko lepiej jeszcze ukazują naturę mojego rozumu. Co więcej, tyle innych rzeczy znajduje się w samej duszy, które mogą przyczynić się do wyjaśnienia jej natury, że te wszystkie, które związane są z ciałem, prawie nie zasługują, by brać je w ogóle pod uwagę!

I oto niepostrzeżenie powróciłem tam, gdzie chciałem się znaleźć. Skoro bowiem jest dla mnie jasne, że ciała materialnych jako takich nie da się w sposób właściwy poznać za pomocą zmysłów ani wyobraźni, lecz jedynie za pomocą poznania rozumowego, i że nie są one poznawane wtedy, gdy się na nie patrzy czy też dotyka ich, lecz wtedy, gdy się je rozumie czy ujmuje rozumowo, to i widzę jasno, że nic nie jest bardziej dostępne mojemu poznaniu niż mój własny umysł. Ponieważ jednak nie tak łatwo jest całkiem pozbyć się mniemania, do którego nawykło się przez długi czas, warto, abym jeszcze zatrzymał się na trochę w tym miejscu, żebym tę nową wiedzę, dzięki dłuższemu jej rozpatrywaniu, tym lepiej mógł odcisnąć w swej pamięci.

..